

Krawiectwo w stylu fusion

Rozmowa Zofii Smolarskiej z Moniką Tatar, właścicielką Pracowni Krawieckiej przy Al. Słowackiego 38

Zofia Smolarska: Bardzo tu u Ciebie przytulnie i ciekawie. Przy wejściu są ręczne wyroby – torebki, saszetki z wymalowanymi wzorami, a tu na zapleczu oprócz maszyn i materiałów, piękne obrazy... Twoje?

Monika Tatar: Moje, przeze mnie malowane.

ZS: Nie wygląda to jak typowy zakład krawiecki.

MT: Mała poprawka. Bardzo nie lubię, jak się mówi „zakład”. To jest pracownia. Jak ktoś mówi „zakład”, to od razu przypomina mi się tekst z filmu „Dzień Świra”: „Nie podbijam karty na zakładzie o siódmej rano”. Zakład kojarzy mi się z pracą przy taśmie, gdzie codziennie robi się to samo. A ja tutaj robię bardzo różne rzeczy.

ZS: Czy mogłabyś nakreślić, jak szerokie jest to spektrum?

MT: Zlecenia są przeróżne. Jak klienci przychodzą i pytają się mnie: „Co pani robi?”, to mówię, że wszystko: skracanie, poszerzanie, zwężanie...

ZS: ...cerowanie?

MT: Cerowanie na przykład ulubionych sweterków kaszmirowych.

ZS: Trudne to jest?

MT: Dla mnie nie, bo ja akurat zajmuję się haftem artystycznym, ale żeby to ładnie zacerować i żeby nie było widać cery, to trzeba na to sporo czasu poświęcić. Oprócz tego haftuję, maluję na tkaninach, więc jak trzeba dziurkę ładnie zamaskować, to ją przyhaftuję i podmaluję. Tu już wchodzi inwencja twórcza. Nie uczyłam się w szkole krawieckiej i po części to może mieć dobry wpływ na to, jak wykonuję swoje zlecenia, bo nie mam narzuconego standardu, że coś trzeba zrobić tak a nie inaczej. Przecież mamy kuchnię fusion. To, jak coś robiła dawniej krawcowa, niekoniecznie trzeba zrobić dzisiaj w ten sam sposób.

ZS: To rozumiem teraz, skąd „pracownia”, a nie zakład, bo bliżej ci do pracowni artystycznej, a przynajmniej do miejsca, gdzie działa się twórczo.

MT: Kiedy zakładałam pracownię, to w ogóle myślałam, że to będzie miejsce typowo artystyczne, z warsztatami dla dzieci, związane z haftem i malowaniem na tkaninach oraz nauką szycia dla dzieci. Ubolewam nad tym, że haft umiera. Kiedyś się piękne obrusy haftowało. W Zakopanem są piękne surduty haftowane. Haft zakopiański to jest tradycja, która na szczęście jest pielęgnowana. Jest też haft kaszubski. Na Kaszubach wciąż działają pracownie, które haftują tradycyjnie. Można coś takiego kupić na Cepeliadzie, która co roku jest organizowana w Krakowie na Rynku.

ZS: Dzisiaj można taki haft wykonać maszynowo, mniejszym nakładem czasu. Może dobrym pomysłem byłyby certyfikaty, które zaświadczają o tym, że dana rzecz jest wykonana ręcznie i dzięki temu klient wiedziałby, skąd bierze się różnica w cenie?

MT: Ale to widać, czy haft jest maszynowy czy ręczny.

ZS: Ty to wiesz, ale jak zwykły klient ma to rozpoznać?

MT: W hafcie maszynowym, jak odwrócisz tkaninę na drugą stronę, to zobaczysz pętelki, bo ta maszyna od dołu musi pętelkować. A w hafcie ręcznym z prawej i lewej strony haft jest taki sam.

ZS: Ten plan na miejsce z warsztatami haftu i szycia jest wciąż aktualny?

MT: Tak, jest aktualny, choć chwilowo odsunęło się to w czasie, bo mój mąż zmarł w 2022 roku i zostałam sama. Trzeba było się troszeczkę przeorganizować w życiu.

ZS: Przykro mi.

MT: Takie jest życie.

ZS: Kiedy rozmawiałam z Twoim sąsiadem, szewcem Piotrem, usłyszałam, że w chwilach osobistych zawirowań trudniej wykonuje się pracę rzemieślniczą, bo rzemieślnik pracuje niejako osobiście. Po pierwsze używa własnych rąk, a po drugie jego zazwyczaj samodzielna i twórcza praca wymaga dużego wewnętrznego zaangażowania, więc trzeba mieć do tego głowę. Czy mogę spytać, czy to trudne doświadczenie wpłynęło na Twoją pracę?

MT: Na pewno, na przykład na zmianę godzin pracy. Przeszłam na tzw. europejski styl pracy, to znaczy pracuję cztery dni w tygodniu i piątek mam zamknięte.

ZS: Kiedy w Hiszpanii i na Islandii testowano takie rozwiązanie, okazało się, że pracownicy byli tak samo lub nawet bardziej wydajni, niż kiedy pracowali pięć dni w tygodniu.

MT: U mnie to działa od pół roku i się sprawdza. Ja wprawdzie w piątki też tu przychodzę i pracuję, ale mam zamknięte dla klientów, czyli nie przyjmuję zleceń. Dzięki temu mam luz i na przykład

mogliśmy się spokojnie dzisiaj spotkać i porozmawiać. Jak mi się nie chce, to w piątki nie przychodzę, a jak mi się chce, to przychodzę i pracuję dziesięć godzin. A poza tym ten dzień jest potrzebny na sprawy administracyjne i zakupy materiałów.

ZS: Model pracy zmieniłaś właśnie pod wpływem doświadczenia straty?

MT: Tak, zrozumiałam, że nie można tylko i wyłącznie pracować, że trzeba troszkę czasu dla siebie też poświęcić. Wróciłam z powrotem do biegania, zmieniłam tryb życia. To jest taki czas refleksji, że człowiek staje nagle i zauważa, że niekoniecznie to życie musi przebiegać tak, jak do tej pory. Życie mamy tylko jedno. Drugiego nie dostaniemy.

ZS: Zgadzam się. Te życiowe refleksje w pewien sposób korespondują z tym, czym się zajmujesz. W kulturze mamy sporo symbolicznych postaci, mitów i baśni związanych z nićmi, tkaniem, przędzą. Choćby greckie boginie Mojry, które przędzą nasz los. Piękne metaforyczne znaczenie ma też słowo osnowa. Nić w polskich bajkach ludowych często pomaga bohaterkom uniknąć niebezpieczeństwa, ująć z życiem. Ale wracając do Twojej codzienności, pewnie napotykasz też czasem rutynę?

MT: No, może przy skracaniu spodni. Pamiętam, że dostałam kiedyś tzw. idealne zlecenie dla krawcowej: 270 par spodni do skrócenia – z długich na szorty. To fakt, tu się troszeczkę wpada w rutynę.

ZS: Kto miał potrzebę skrócić aż tyle par spodni?

MT: Przyszedł do mnie kiedyś pewien właściciel firmy z piękną inicjatywą Circular Concept, która polegała na nadawaniu rzeczom drugiego życia. Przyniósł markowe jeansy z outletu, niesprzedane końcówki serii. Wpadł na pomysł, żeby je odświeżyć, tzn. z długich zrobić krótkie. To było ze trzy lub cztery lata temu, kiedy modne były szorty do kolan z podwinięciami nogawek. 270 par poszło do skrócenia, a potem wróciły na sklep do sprzedaży. Z obciętych nogawek zaczęłam szyć torby jeansowe, które później malowałam we wzory, ale to już był mój pomysł.

ZS: Sądząc z tego, co masz na wystawie, to chyba nie było jedyne takie proekologiczne przedsięwzięcie?

MT: Nie, z końcówek aksamitu robię saszetki i etui, które potem haftuję. Wykorzystuję resztki materiałów. Poza tym recycling jest mi bardzo bliski. Śmieję się, że jestem bardzo dobrze wykształconą krawcową, bo skończyłam ekonomię i geologię na Uniwersytecie Warszawskim. Na ekonomii pisałam pracę dyplomową z recyklingu i ochrony środowiska. Już wtedy bardzo podobała mi się idea segregacji i przetwarzania odpadów. To było ze 25 lat temu i wtedy w Polsce takie tematy w ogóle nie istniały. Kiedy poszłam na egzamin, to pani z komisji spytała się mnie, co to właściwe jest ten recycling! Tę pracę pisałam w Katedrze Statystyki i Ekonometrii. Najpierw robiłam model z

danych zebranych w województwie mazowieckim na temat jakości wody, ziemi i powietrza. I już wtedy koncepcja ochrony środowiska była bardzo potrzebna, bo te wyniki wyszły bardzo złe.

ZS: Przenosząc się do Krakowa, pod względem jakości powietrza, wpadłaś z deszczu pod rynnę! Kiedy to było?

MT: W 2000 roku. To też był spory zwrot w moim życiu. Po skończeniu drugiego kierunku, geologii, przyjechałam na długi weekend majowy do Krakowa na wspinaczkę i tam poznałam mojego przyszłego męża, który był krakusem z dziada, pradziada. A we wrześniu już mieszkałam w Krakowie.

ZS: Przenosiłaś się już z myślą o założeniu takiej pracowni?

MT: W życiu! Jeśli ktoś wtedy by mi powiedział, że będę miała własną pracownię, i to krawiecką, to w życiu bym mu nie uwierzyła! W moich marzeniach była praca na platformie wiertniczej na Morzu Północnym, a nie bycie krawcową! Chociaż moja matka chrzestna, siostra mojego taty, była zawodową krawcową, więc maszyny były w domu i szylam na nich od dziecka. Mam to w genach.

ZS: To jak to się stało, że wróciłaś do korzeni?

MT: Wydarzył się kolejny zwrot w moim życiu. Po studiach zajmowałam się sprzedażą i dystrybucją na Małopolskę i Podkarpacie. Ale wydarzył się wypadek i przez 3 miesiące w ogóle nie mogłam chodzić. Musiałam zmienić tryb pracy. Wtedy już zrodził mi się w głowie pomysł pracowni artystycznej. Przez Urząd Pracy chciałam znaleźć takie miejsce, ale okazało się, że w Krakowie na palcach jednej ręki można było wtedy policzyć pracownie artystyczne. Nie do uwierzenia! Miasto artystów, prawda? Pani z urzędu pokierowała mnie, mówiąc, że są dofinansowania z Unii Europejskiej do staży, tylko musiałabym znaleźć pracownię, która chciałaby mnie przyjąć. Znalazłam i potem przez pół roku byłam na stażu w zakładzie krawieckim. Tam nabyłam sporo może nie tyle technicznej wiedzy, ile na temat organizacji i tego jak w ogóle funkcjonuje pracownia.

ZS: Czyli urząd opłacał ci pensję?

MT: Ja bym tego pensją nie nazwała, bo kwota bardziej przypominała stypendium, ale tak, za to płacił urząd pracy.

ZS: To chyba dobre rozwiązanie z punktu widzenia właściciela pracowni, który ma za darmo dodatkowe ręce do pracy, choć w zamian powinien dzielić się z Tobą swoją wiedzą. Pytanie, czy chętnie to robił?

MT: Nie zawsze...

ZS: Słyszałam od wielu rzemieślników artystycznych (ale dotyczy to wielu innych branż rzemieślniczych), że nieraz bardzo starannie ukrywa się pewne rzadkie, zaawansowane sposoby wykonania, bardziej skomplikowane techniki, po to, żeby nie tworzyć sobie konkurencji. Niektórym udaje się w ten sposób budować monopol na pewien rodzaj zleceń.

MT: W dawnych czasach, jak się szło na ucznia, to nauka u mistrza trwała parę lat, a wiedza była przekazywana powoli, sukcesywnie. Ale czasy się zmieniły, mamy internet, a tam znajdzie się wszystko.

ZS: To w czym taki staż był ci pomocny? Czy nauczyłaś się czegoś, czego nie było w internecie?

MT: Tak, zobaczyłam, że krawiectwo to bardzo osobisty biznes. Są klienci, którzy są latami przywiązani do jednej pracowni, do konkretnej osoby. Nauczyłam się tam dwóch podstawowych zasad: zlecenie musi być zrobione dobrze i na czas. Właścicielka tego zakładu miała nefajną tendencję do przeciągania terminów. Przychodziła osiemdziesięcioletnia staruszka po odbiór i okazywało się, że jest niezrobione. Przychodziła drugi raz i wciąż było niezrobione. To było przykre. Takich rzeczy nie powinno się robić. Trzymam tę żelazną zasadę do tej pory: u mnie musi być zrobione na czas.

ZS: Ale przecież nie zawsze można dokładnie oszacować czas potrzebny na wykonanie zlecenia. Pewnie zdarza się, że dopiero kiedy prujesz podszewkę, żeby dostać się do środka...

MT: ...czyli kiedy robię tzw. odkrywkę...

ZS: ...i tu krawiectwo spotyka się z geologią!...

MT: ...Oczywiście, że zdarza się, że w praniu okazuje się, że będzie to kosztować więcej pracy, ale i zdarza się odwrotnie. Myśli się z początku, że coś jest bardzo czasochłonne, a nagle wpada się na bardzo fajne, szybkie rozwiązanie.

ZS: I co się działo dalej, po skończeniu stażu?

MT: Mój mąż chodził i powtarzał: „Weź, załóż swoją pracownię!” I chyba mi to wmówił. Jak skończyłam staż, to akurat wybuchła pandemia, która jeszcze trwała, jak otwierałam pracownię, więc żeby mieć na przeżycie, to szłam i malowałam maseczki. Tylko u mnie można było kupić ręcznie malowaną maskę. Miałam dużo klientów.

ZS: Czy taką malowaną maskę można prac w wysokiej temperaturze?

MT: Tak, niektórzy nawet je gotowali, bo używam specjalnych farb do tkanin. Czasami, chodząc po Krakowie, widziałam ludzi w moich maskach. To są miłe momenty związane z tą pracą. Ostatnio widziałam na przejściu panią z moją torbą na ramieniu malowaną w koty.

ZS: A jak znalazłaś ten lokal? Z tego, co wiem, przed Tobą tutaj też była krawcowa.

MT: Od 1989 roku był tutaj zakład krawiecki o nazwie 3/czwarte. To był pierwszy zakład zrzeszony w krakowskim Cechu Krawców. Pani Sławomira, która to prowadziła przez trzydzieści lat, była utytułowaną mistrzynią krawiectwa. Po jej odejściu przez rok lokal stał pusty. Ja o tym wiedziałam, bo mieszkam niedaleko, na Dunajewskiego, ale nie myślałam, że to akurat ma być moje. Kiedyś podczas spaceru z mężem stanęliśmy na przejściu dla pieszych i tak mnie olśniło: przecież tu jest pracownia! Obok był sklep z ciuchami, znałam Asię, która nim kierowała, poprosiłam ją o numer telefonu do właścicieli, czyli spadkobierców. Dzieci pani Sławomiry miały duży sentyment do tego miejsca, bo ich mama prowadziła to tyle lat, a oni od dziecka tu bywali. Na początku planowałam od nich wynająć ten lokal, ale chcieli go sprzedać właśnie ze względu na zbyt duży ładunek emocjonalny związany z tym miejscem. Kiedy się spotkaliśmy u notariusza przy zakupie, byli bardzo zadowoleni, że będzie kontynuacja działalności ich mamy w tym miejscu.

ZS: Jak wyglądał ten lokal, kiedy się wprowadziłaś?

MT: Tu było wszystko – włącznie z maszynami, nożyczkami, nićmi. Gotowa pracownia, jakby ktoś wyszedł z niej wczoraj. Dlatego już na drugi dzień otworzyłam.

ZS: Piękna kontynuacja. Używając tych samych maszyn, nożyczek, igieł, dalej tkasz historię tego miejsca. A przedstawisz mi te swoje odziedziczone maszyny? Wyglądają na doświadczone.

MT: Mają swoje lata, ale w przypadku maszyn przemysłowych to nie ma znaczenia. Te dwa stare Łuczniczki, stebnówki, są tak mocne, że trzydzieści, czterdzieści lat będą pracowały, szczególnie, że ja ich nie wykorzystuję przemysłowo, do czego są przeznaczone. Póki silnik żyje, maszyna żyje. Trzeba tylko konserwować, regulować i pamiętać o oleju, bo bez tego każda maszyna się zatrze.

ZS: A gdyby – tfu tfu – coś się zepsuło, czy taką starą maszynę ktoś dzisiaj potrafi zreperować, czy są do niej jeszcze części zamienne?

MT: Igły są standardowe do tego typu maszyn. Części zamienne do starego Łuczniczki jeszcze można kupić w sklepie naprzeciwko Kina Kijów. I tzw. fachowcy mają jeszcze stare części. Ale i tak trzymam drugą stebnówkę w zapasie na części. Ona jest sprawna, ale na dwóch jednocześnie nie da się pracować. Nie będziemy głośno o tym mówić, bo jeszcze usłyszysz...

ZS: Honorowa dawczyni organów brzmi dumnie, ale nie wiem, czy dla maszyny do szycia. A jak oceniasz tę lokalizację, poza tym, że masz blisko do pracy?

MT: Krowodrza to bardzo fajna dzielnica. Mam cudownych klientów, że tylko innym takich życzyć. Znam historie niektórych rodzin. Przychodzi do mnie babcia, mama, wnuczka, a już nawet niektóre prawnuczki. Przychodzi się i się rozmawia. Ludzie kochają rozmawiać. Mają swoje smutki i swoje radości.

ZS: Pewnie tym bardziej dzisiaj, kiedy ludzie lękają znów takich bezpośrednich kontaktów.

MT: Człowiek to zwierzę stadne, potrzebuje rozmawiać.

ZS: Czyli mimo, że pracujesz tu sama jedna, to Twoja praca nie jest samotnicza, wymaga kompetencji społecznych, umiejętności nawiązywania i podtrzymywania relacji. To burzy pewien stereotyp rzemieślnika, który najchętniej siedzi zamknięty w kącie swojej pracowni i „dziubie”, bo spełnia się w starannej robocie, a niechętnie uczestniczy w życiu publicznym, społecznym, niechętnie się także reklamuje.

MT: Generalnie pracuję tu sama, ale nie nazwałabym mojej pracy samotniczą. To pewnie zależy od osobowości. Jeden będzie bardziej milczący, inny będzie rozmawiał.

ZS: No, to opowiadaj o hafcie! Jak to się zaczęło?

MT: Pierwsze moje artystyczne działania to był właśnie haft. Po hafcie, jako że człowiek twórczy zawsze się rozwija, naturalnie przyszło malowanie, a potem połączenie malowania z haftem. Chyba nikt tego nie robi oprócz mnie. Tu masz moje obrazy – w całości haftowane albo malowane i haftowane, jak ten Kościółek Św. Wojciecha na Rynku.

ZS: Świetne! Haft robi na tych obrazach efekt 3D.

MT: O to właśnie chodzi. Swego czasu bardzo dużo robiłam biżuterii i apaszek malowano-haftowanych. Jedną z moich apaszek ma Królowa Danii.

ZS: [prawie dławiąc się poczęstowaną krówką] Ale że jak?

MT: Był czas, pięć czy sześć lat temu, że współpracowałam z artystką sztuki performans, Valą. Kiedyś miała koncerty na Dolnych Młynów. Przyszła do mnie i mówi: „Po występie zrobimy mały kiermasz, a ty takie piękne rzeczy robisz”. Wzięła moje apaszki, etui, saszetki, obrazki haftowane, biżuterię haftowaną, a następnego dnia przychodzi, kładzie mi pieniądze na stole i mówi: „Następne rób”. Wszystko sprzedała. Potem pojechała na tournée do Danii i dostała audiencję u królowej. Dzwoni do mnie i mówi: „Ja nie mam się w co ubrać!” Ustaliliśmy, że ubierze moją apaszkę, a właściwie to owinie się tym pięknym szalem, bo to były szale dwa metry na pół metra. Królowa

zwróciła na niego uwagę, bardzo jej się ten szal spodobał, więc artystka ściągnęła go i jej podarowała. To są jedne z tych nieprawdopodobnych rzeczy, które zdarzają się w moim życiu.

ZS: Dalej można u Ciebie taki szal kupić?

MT: Tylko na zamówienie. Niestety, odkąd zostałam sama, po prostu nie mam czasu. Ale jeszcze kilka tych dawnych szali tu leży, jeden jest na manekinie przy wejściu. Mam pewną grupę klientów, którzy przychodzą tylko po takie artystyczne rzeczy. Jedno z ciekawszych zleceń, jakie robiłam, to szatka z dedykacją po łemkowsku. Pani przyszła, napisała coś na kartce i mówi: „Chciałabym z tym napisem szatkę do chrztu dla wnusia”. A ja mówię: „Dużymi, drukowanymi literami proszę”, bo wprawdzie cyrylicy uczyłam się w szkole podstawowej, ale jednak język Łemków jest nieco inny, choć zbliżony do ukraińskiego [ci Łemkowie, którzy uważają się za Ukraińców, uznają łemkowski za dialekt ukraińskiego, pozostali stoją za jego odrębnością]. Anioła miałam wyhaftować, a dedykację namalować złotymi literami.

ZS: A skąd ta pani wiedziała, że u Ciebie można coś takiego namalować na tkaninie i wyhaftować?

MT: Poczta pantoflowa. To się szybko rozchodzi.

ZS: Wracając do ekologii, wyraźnie wzrasta świadomość naszego ludzkiego wpływu na środowisko i klimat. Czy Ty obserwujesz troskę o środowisko wśród swoich klientów?

MT: Tak. Na samym początku, kiedy dostawałam zlecenia, ludzie przeważnie przynosili nowe rzeczy. Ktoś sobie np. kupował cztery pary spodni i przynosił je do skrócenia. Ale te trzy, cztery ostatnie lata zrobiły dużą różnicę i ta tendencja się odwraca. Teraz przynoszą spodnie do naprawy, do zacerowania, do wymiany zamka. I zmieniła się struktura demograficzna, co mnie najbardziej cieszy. Przychodzą młodzi ludzie. Niewiele wiedzą, ale przychodzą i grzecznie pytają: „Czy da się to naprawić?”

ZS: No tak, skąd mają wiedzieć, czym dokładnie zajmuje się krawcowa? Odkrywają ponownie zapomniane społecznie lądy.

MT: Jedyne, z czym nie mogę się oswoić, to kiedy młody człowiek przynosi guzik do przyszycia. Jednak ta igła i nitka w domu powinny być. Ale to jest wynik edukacji. Jak byłam w szkole, mieliśmy ZPT – Zajęcia Plastyczno-Techniczne. I tam uczyliśmy się haftu, tkania, robiliśmy makramy, szyliśmy, no choćby na tyle żeby guzik przyszyć. Takie proste, praktyczne rzeczy, które człowiek powinien umieć zrobić w domu: gwoździa wbić, żarówkę wymienić.

ZS: I pamiętać, żeby wcześniej wyłączyć światło...

MT: No właśnie, jest takie powiedzenie: elektryka prąd nie tyka. Ja w ogóle od dziecka jestem nauczona samodzielności. Moja babcia, która dożyła dziewięćdziesięciu siedmiu lat, zawsze mi powtarzała: „Monisiu, ty sobie zawsze musisz radzić sama ze wszystkim, musisz wszystko umieć”. Ja w domu maluję ściany, wymieniam krany. Śmieję się, że mam dwie przyjaciółki: wiertarkę i wyrzynarkę. Ostatnio szafę w domu przerabiałam. Młodzi może nie potrafią takich rzeczy, ale bardzo doceniają, że można z końcówek spodni zrobić fajną torbę.

ZS: Może z czasem ci młodzi ludzie dołączą do rosnącego także w Polsce ruchu makerów [maker movement], czyli osób, które pasjonują się samodzielnym wykonywaniem ubrań czy mebli. A jak ci się szyje ubrania, które dostajesz do przeróbek, w kontekście tkanin, z których są zrobione?

MT: Najprzyjemniej pracuje się z naturalnymi tkaninami – z bawełną, wełną, miło jest wziąć do ręki kaszmir albo alpakę. Te tkaniny współczesne z elastyną są w szyciu okropne – wyciąga się to, maszyna niektórych tkanin nie chce szyc. Ogólnie jeśli chodzi o współczesne ubrania, to jakość szycia i tkanin strasznie spadła. Dużo tkanin ma dodatek elastyny, coraz mniej bawełny, o wełnie nie wspomnę. A jeśli chce się kupić prawdziwą wełnę, to jest to bardzo drogie. Czasami chodzę po sieciówkach i patrzę na szycie – jest oby szybciej, oby taniej, nie ma nawet milimetra zapasu zostawionego na brzegach. Wszystko jest przeliczone komputerowo, żeby było jak najmniej odpadu, a czasem jest tylko przejechane overlockiem, bez przszycia.

ZS: Z tego widać, że oszczędność materiału nie zawsze jest proekologiczna. Wielu konsumentów wciąż myśli właśnie w ten sposób – ekonomicznie ale na krótką metę. Woli kupić tanie ubranie w sieciówce, które po rychłym zniszczeniu zastąpi natychmiast kolejnym. Czy widzisz w *fast fashion* zagrożenie dla siebie, czy raczej swoją szansę, bo potrzeba osoby, która będzie te słabe jakościowo ubrania reperować?

MT: Powiem tak: krawcowa była, jest i będzie potrzebna, chociaż by po to, żeby ubranie dopasować. Nikt z nas nie ma idealnej sylwetki. Zakupy przez internet często kończą się u mnie. Niektóre poprawki są konieczne, bo nie będziesz chodzić w za długich spodniach czy machać za długimi rękawami jak chorągiewkami.

ZS: A szyjesz także na miarę?

MT: Dla stałych, wieloletnich klientek tak, ale to jest zupełnie inne szycie. To by wymagało przedstawienia produkcji. Musisz najpierw przygotować formę, a ja nigdy nie korzystam z form gotowych z Burdy, bo one są na standardowego człowieka, a każdy jest inny. Dla każdego potrzeba więc przygotować osobną formę, a to jest czasochłonne. Poza tym trzeba ciągle zmieniać maszyny i nici. Jak ktoś mnie poprosi z moich stałych klientek to tak, szyję spodnie, spódnicę, bluzkę, sukienki też szyłam, ale teraz nie mam czasu i skupiam się na tym, żeby wyrobić się ze zleceniami. Albo jeśli ktoś chce poczekać, bo styczeń, luty albo wakacje są spokojniejszymi okresami i mam więcej czasu, żeby uszyć coś na miarę. Jak jest zmiana sezonu, to nie ma szans.

ZS: Czyli najwięcej klientów masz właśnie w okresie przejściowym, pomiędzy sezonami?

MT: Po zimie zawsze ktoś przytyje albo okazuje się, że czegoś w szafie brakuje i trzeba kupić nowe spodnie, które z kolei będzie trzeba u mnie dopasować. Teraz mamy studniówki, w maju będą komunie i też trzeba ładnie wyglądać.

ZS: Albo mól zrobił dziurę, kiedy ubranie wisiało przez zimę w szafie i trzeba oddać do zacerowania. A jak zmieniło się Twoje postrzeganie ubrań, odkąd zostałaś krawcową?

MT: To jest zboczenie zawodowe, straszna rzecz. Kiedy idę za kimś i widzę, jak płaszczy się na nim z tyłu źle układa, to się odwracam i idę w drugą stronę. Ja przez wiele lat robiłam zdjęcia, a przy fotografii używa się pewnych zasad, np. zasady złotego podziału odcinka, istotne są proporcje. Kiedyś się nad tym zastanawiałam, skąd ja wiem, kiedy ktoś przy mnie przymierza sukienkę, jaka powinna być jej długość, jaka mu najbardziej pasuje. Uświadomiłam sobie, że to wycucie jest skutkiem właśnie wieloletniego robienia zdjęć, kadrowania i stosowania zasad kompozycji w fotografii i w obrazach.

ZS: Łączysz bardzo wiele umiejętności.

MT: A jeszcze jestem taternikiem!

ZS: A w jaki sposób to się przekłada na krawiectwo?

MT: Jak przychodzi bardziej męczący klient, to przydaje się ta górską cierpliwość, którą trzeba mieć, żeby wejść na szczyt.

ZS: Przetrzywać lawinę słów...

MT: Są też klienci, którzy stosują samowolę budowlaną, czyli biorą nożyczki i ucinają. A potem przychodzą do mnie: „Chyba krzywo ucięłam, niech pani ratuje”. I muszę wyrównać, wykończyć.

ZS: Mówiłaś, że nie masz czasu szyć dla innych, a dla siebie?

MT: No, spódnice, którą teraz mam na sobie, sama uszyłam. To jednak inaczej wygląda, jak ubranie jest dopasowane do sylwetki.

ZS: Szycie na miarę uchodzi za ekskluzywne. Czy możesz podać kosztorys np. spódnicy z welny?

MT: Na spódnicę trzeba ok. 60–70 cm tkaniny. Wełna jest minimum po stówce za metr w zależności od gatunku, wełny włoskie mogą być nawet powyżej 200 złotych, ale żeby nam było łatwiej liczyć, to założmy 100. Czyli 70 zł na materiał, do tego podszewka, zamek, to razem 100. Uszycie drugą stówkę. Spodnie już byłyby droższe, bo potrzebujesz więcej materiału i szycie więcej kosztuje.

ZS: Ale to i tak nie wychodzi aż tak drogo nawet w porównaniu do spódnic z sieciówek, a szczególnie biorąc pod uwagę wytrzymałość wełny, czyli to, ile nam takie ubranie będzie służyć.

MT: Ale te wełny to też nie są już takie, jak kiedyś. Bardzo mnie cieszy, kiedy młode dziewczyny wyciągają z szafy stare wełniane spódnice babć. Bierzesz do ręki i czujesz, że ten materiał ciebie przeżyje. To jest fajne, że można dać drugie życie tym ciuchom, przerobić je, dopasować.

ZS: A jak się nie ma szafy babcinej, to można w second handzie kupić coś jakościowego i do Ciebie przyjść po przeróbkę?

MT: Jak najbardziej. Jestem wielką zwolenniczką second handów. Tu naprzeciwno mnie jest fajny, bywają jedwabie, wełny.

ZS: Troszkę dalej w stronę placu Inwalidów jest komis odzieżowy.

MT: A jest. Pamiętam takie czasy, że tych komisów dużo było i ludzie z nich korzystali. Jak komuś coś przestało się podobać, to kolejna osoba mogła to sobie nosić dalej.

ZS: Teraz mamy aplikacje na telefon, które oferują podobną możliwość. A czy Tobie potrzebna byłaby grupa wsparcia, społeczność rzemieślnicza w celu wymiany informacji, polecenia sobie nawzajem klientów?

MT: No, my tu mamy z szewcem Piotrem taki klub i wielu wspólnych klientów. Ktoś coś przynosi i mówi: „Idę jeszcze do pani sąsiada, bo muszę buty odebrać”.

ZS: A czy widzisz potrzebę bycia w cechu? Ostatni raport PARPu poświęcony rzemieślnikom stawia taki wniosek, że rzemieślnicy najgorzej oceniają swoje umiejętności w sferze podatkowo-księgowej, prawnej, w aplikacjach o granty, dofinansowania. Ale Ty jako ekonomistka pewnie nie masz potrzeby zasięgnięcia w cechu porady w sprawach podatkowych?

MT: Jakbym zatrudniła księgową, to rodzina by się ze mnie śmiała. Deklaracje ZUS-owskie i podatki sama rozliczam. Zresztą tu nie ma bardzo skomplikowanej księgowości, bo jestem na ryczałcie, a to jest jedna z najprostszych form rozliczania się.

ZS: Drugą piętą Achillesową według samych rzemieślników jest marketing – nie wiedzą, jak i gdzie się promować. Mówiłaś, że u Ciebie działa marketing szeptany. Czy tylko?

MT: Ze względu na to, że tutaj kiedyś była pracownia, to bardzo dużo dawnych klientów wróciło, nawet nie wiedząc o tym, że tu się tymczasem wymieniła właścicielka. Mam wystarczającą liczbę klientów, którzy mi zapewniają pracę. Ale na samym początku, po tym, jak dałam reklamę do Google, przybyła duża część młodej klienteli. Oprócz osób, które były dawniej klientami poprzedniej właścicielki, to drugą bazą moich klientów, są moi znajomi i znajomi znajomych, grono bliskich klientów. A trzecia baza to klienci na rzeczy artystyczne. Mam taki trójpodział, który daje mi wystarczający dochód. A ze względu na to, że założyłam swoją działalność gospodarczą po raz pierwszy, skorzystałam z ulgi z ZUS-u na start, choć już niedługo. Od miasta nie miałam żadnej pomocy.

ZS: Niektóre warsztaty rękodzieła są dzisiaj reklamowane jako sposób na odstresowanie się, budowanie postawy uważności, a nawet jako czynność medytacyjna. Czy myślisz, że haft również ma medytacyjny potencjał?

MT: Chcesz znać moje zdanie? Jak potrzebujesz pomedytować, to idź na jogę. Sama ostatnio chodzę na jogę i to bardzo wycisza. Swego czasu trenowałam tai-chi i doszłam do etapu rozprowadzania energii po ciele. Osobom, które chcą doświadczyć spokoju wewnętrznego, proponowałabym tego typu zajęcia, a nie warsztaty z haftu, bo one mogą zadziałać odwrotnie i spowodować wzrost stresu. Haft wymaga cierpliwości, jest bardzo pracochłonny, więc sprawdzi się dla ludzi, którzy już są wyciszeni. Innych mógłby zniechęcić. Natomiast z zajęć rękodzielniczych na odstresowanie polecam ceramikę. Byłam kiedyś na takim warsztacie w Muzeum Narodowym. Ugniatanie i formowanie gliny działa bardzo uspokajająco.

**ZS: A ja czuję po tej naszej rozmowie, jakbym była po jakiejś medytacji, tylko takiej gadanej...
Dziękuję ci bardzo za spotkanie.**

Zofia Smolarska – doktora nauk o sztuce, badaczka teatru i rzemiosła, pracuje w Instytucie Sztuki PAN, autorka publikacji na temat związków sztuki, rzemiosła i ekologii.